ROZMAITOŚCI.

Dnia 30 sierpnia, Ner. 35. roku 1845.

F E D Z I O.

Ośmioletni chłopiec śpiéwał następującą piosnkę:

»Fala snuje się po fali
W Dunajca głębinie,
Coraz daléj — coraz daléj
Aż w morze zawinie.

Ale tam się w mgłę przemieni,
Lub się w chmurkę spłynie,
I użyczy w skwarze cieni
Rodzinnéj krainie.

I ów listek oderwany,
Burza nim pomiata,
Gdzieś przez łany, przez kurhany
Szalona z nim lata.

Lecz niech tylko raz powionie
Wietrzyk upragniony,
Wróci listek ku swéj stronie,
W swój gaik zielony.

Lecz przedemną los złowrogi
Zatrzasnął rodzinne progi,
I téj nie mam ulgi jednéj
Ja sierota biedny!

Nie znam sioła nie znam chatki
Gdziem zobaczył świat,
Nie znam ojca, nie znam matki,
Z niemowlęcych lat.”

»Co to za piosnka, chłopcze?« zapytał surowo spoczywający na sofie mężczyzna.

Fedzio nic nie odpowiedział, odłożył na bok teorban, a smętna źrenica zabiegła łzą. Alunia, córeczka surowego pana, przybiegła do Fedzia, małe dziecięce rączęta zarzuciła mu na szyję — a w jéj oczętach łysnęły dwie perełki — i kalinowémi usteczkami zcałowała łzę z oczu chłopca, i znowu swojémi oczkami łzawiła mu blade lice.

»Tato! Patrzaj, Fedzio taki biédny, płacze;« — mówiła do ojca — »tato, popieść Fedzia, bo i ja z nim płakać będę!«

Surowość zniknęła z twarzy mężczyzny, a wtomiast wpłynęło mu jakieś łagodne uczucie, pogłaskał i pocałował Fedzia. Bo téż i dziwny był charakter pana Woliskiego i całe jego usposobienie. Przed dwoma latami stracił żonę, którą kochał namiętnie. Mała Alunia podobniuteńka do mamy, była jedyną jego pociechą; z nią i Fedziem przepędzał często dnie całe. Słuchał jéj szczebiotania, podzielał dziecinne zabawki, stroił jéj lalki, śmiał się z nią i swawolił, a gdy jaka dolegliwość wycisnęła łezki z oczął dziécięcia, wtenczas i jego męzka źrenica łzą zabiegła. Często patrzył się długo w oczy swojéj Aluni. Widać że z nich wywoływał obraz matki, bo całował i porzucał dziécię, biegł do klawikordu, przegrywał ulubione śpiéwki zmarłéj żony; w coraz smętniejszą, żywszą, dzikszą grę przechodził, aż wypłynęły tony smętne, jak jego dusza, przeraźliwe, jak jego rozpacz. Po pasmie melodyj snuły się wspomnienia dawne, blade. Na ich tle niepewném, czarodziejskiém, pojawiło mu się widmo straconéj drogiéj istoty. I uderzał silnie w klawisze, jakby chciał zniszczyć to źródło bolu i rozkoszy; wyciągnął ręce naprzód, jakgdyby chciał uchwycić widmo w objęcia, biegł za niém szalono, zapamiętale i padał dopiéro na grobie swojéj Maryi. Tak przepędzał nocy całe; manowcami, ścieżkami wracał o świcie do domu i zastawał już często wesołe grono hulaczych sąsiadów. Jeździł z nimi na polowanie, wyprawiał im biesiady tak, że wszyscy w okolicy

mówili, iż weselszego i gościnniejszego człowieka nad pana Woliskiego, świat i korona polska nie widziały. Wrzawa, śmiéch biesiadujących, dziko jakoś odbijały od smutnych, posępnych komnat. Te wszystkie zabawy miały coś w sobie ironicznego, szyderczego, brzmiały tak niemal, jak śpiéw pijany na stypie, jak taniec syna w żałobie. I z twarzy pana Woliskiego znikała często wesołości maska, ale obecni pisali to na karb dumy lub uraźliwości; żaden nie odgadł robaka, co mu serce toczył, żaden nie dostrzegł jadu, co mu uczucie przetrawił. Tak upływały na zamku dnie i miesiące. Alunia zostawała ciągle z Fedziem — i dzieci dość smutne prowadziły życie, bawiły się często, ale ich zabawki, swawole, były smętne, rzewne jakgdyby z gorzkiego przymusu, jakby dla odegrania roli. Ten stan tak niestosowny do młodziutkich latek, połączył ich przywiązaniem poetycznem, namiętnem. Jeżeli Fedzio na godzinę się oddalił, smętniała Alunia, rumieniec bladł na twarzyczce i była blada jak Fedzio. Tęskniła i za ojcem, jeżeli długo nie wracał. Zaléwała się łzami całując sylwetkę umarłéj mamy. Między Fedzia, tatę i mamę, dzieliła całe swe przywiązanie, całą miłość swoję; bo jéj rozognione, romantyczne serce tak prędko, tak wcześnie wezbrało wszystkich tych uczuć falą, albo téż tylko jedném dziwném uczuciem, które te wszystkie w sobie łączyło. Gdyby Alunię zapytano, kogo więcéj kocha, nie umiałaby sobie z swoich uczuć zdać sprawy, tak jak może każda dziewczyna, co wychowana w rodzinnym nie zcudzoziemczałym domu, czci w swojéj matce ideał cnoty i wiary; za każde jéj skinienie, za każdą jéj radość poświęciłaby całe życie. Aż oto jedno spojrzenie szczęśliwego młodzieńca, obudza w niéj jakiś dziwny, niewysłowiony niepokój; — przywiązanie do matki nakazuje wdzięczność, religija, rozum i serce; za kochankiem mówi tylko jakiś niewyrozumiały głos serca, a jednak biada dziewczynie, w któréj łonie te dwa uczucia zwiodą z sobą walkę.

Tak smutno bez odmian upłynęło parę lat na zamku pana Woliskiego. Jeden wypadek w okolicy przerwał tę nudną jednostajność. Panna Kalnicka, panna respektowa margrabiny Myszkowskiéj wróciła z Paryża i bawiła w sąsiedztwie. Bardzo wiele osób zwabiło to przybycie Paryżanki. Niektórzy zapewne chcieli się czego nauczyć, bo to z dawnych podobno czasów pisze się ta nasza wada, że rozumu szukamy z zagranicy, i że to nam się podoba, co nie swoje — obce. I odwidzali pannę Kalnickę panowie i panie dla nabrania manier, poloru, może nie z pogardy dla domowego obyczaju, nie z naśladownictwa, ale z téj zbytniéj zarozumiałości, co to chce pokazać, że umié po swojemu, ale potrafi i inaczéj — coto choć umié mówić, chciałaby gęgać zarazem.

W towarzystwie téj panny z Paryża bywał często i Woliski. Włos kruczy wił mu się w pierścieniach po bladém marmurowém licu, a na czole i w oku panował ten wyraz wyższości, którym jedynie nieszczęście nacechować może. Ale podobno więcéj spodobały się pannie Kalnickiéj wioski pana Woliskiego, niż jego męzkie, szlachetne rysy; niemniéj starała się go usidlić swojémi wdziękami, i dokładny w tym celu ułożyła planik. Najtrudniéj było przyjść do piérwszéj rozmowy, potém szło wszystko jak z płatka. Zaraz z początku tak ubolewała nad jego nieszczęściem, uwielbiała nieboszczkę, chwaliła Alunię, że Woliski z upodobaniem jéj słuchał. Nikt go jeszcze do tego czasu tak nie zrozumiał, nie pojął; jéj słowa trafiały do serca; gdy z nią kilka dni nie mówił, czuł jakiś wyraźny niepokój. Ona była jeszcze zawsze uprzedzającą, a chociaż znarowiona w Paryżu, chociażby może równie jak jéj margrabina bieliznę tam prać posyłała, gdyby miała milijonowe tamtéj dochody, tak to wszystko sztucznie pokryła, że w niczém nie raziła prawego uczucia i zdrowego smaku Woliskiego. Skoro poczuła, że jéj towarzystwo stało się dla niego przyzwyczajeniem, nałogiem, była obojętną, zimną, a czasem znowu z całą zalotnością Paryżanki zdradzała mu niby swoją mi-

łość nęciła wdziękami. Woliski uwikłał się w te sidła; miłość pod płaszczykiem przyjaźni wślizła mu się w serce tak powoli, tak nieznacznie, że się nie piérwéj spostrzegł, aż gdy już było za późno. Nadaremnie przypominał sobie piérwszą żonę, naprożno odmładzał wszystkie uczucia piérwszéj miłości; jego wyobraźnia nie wywołała tak żywego, drażniącego, nęcącego obrazu, jakim była jego teraźniejsza rzeczywistość. Piérwsza żona gdy mu raz zaprzysięgła wzajemność, oddała mu się cała — była mu otwartą, wylaną, każde uczucie, myśl każdą widział w błękicie jéj oka, na tle czystéj duszy, jak gwiazdę na przeźroczu naszego nieba, jak w otwartéj źrenicy dziécięcia. Dzisiejsza jego kochanka wywiérała na jego umysł wpływ drażliwy, narkotyczny; w jéj miłości bolał, upadał na duchu, a jednak kochał się szalenie, zapamiętale.

Nie długo odbyło się wesele. Po weselu w lat kilka zaszła następująca scena: Pani Woliska gdérała na dwoje dziéwcząt wyszywających pilnie szydełkiem w krosienkach. Albina siedziała zamyślona pod oknem, nagle obróciła się, a widząc, że macocha na nią nie uważa, wysunęła z zapiersi sylwetkę matki. Pani Woliska zajęła się zanadto wymyślaniem na pokojowe, ażeby uważać na pasierbicę; ale jéj pięcioletnia córeczka przypatrywała się siostrze. — »Obrazka mamo, obrazka!« zakrzyczała naraz z płaczem. »Każ mamo Alci, żeby mi dała obrazek!« Albina rada nie rada oddała siostrze sylwetkę, ale grymaśne, złośliwe dziecko, trochę się nią pobawiło, potém zaczęło rzucać po ziemi, tarzać, jakgdyby umyślnie chciało siostrze dokuczyć. Albina nie mogąc znieść tego znieważania najdroższéj pamiątki, wydarła siostrze obrazek; grymaśne dziecko zaniesło się ze złości. Pani Woliska przyskoczyła do Albiny, porwała ją za włosy, przewracała po ziemi, biła i szczypała niemiłosiernie. — »Matko! Zlituj się, ja nic nie zrobiła! Odebrałam tylko sylwetkę. Matko, wybacz!« krzyczała i prosiła macochę biédna dziewczyna. Na jéj płacz wpadł do pokoju Fedzio. Serce mu pękało na cierpienia Albiny i chciałby jéj biédz w pomoc i znowu wstrzymywało go uszanowanie dla pani domu. Pani Woliska nie prędko pohamowała się w swojéj złości; przestała katować sama, ale jeszcze jéj tego było za mało, zawołała bonę z drugiego pokoju i ta znowu zaczęła bić Albinę, — i ona porwała ją za rozpuszczone kosy i wlokła do drugiego pokoju. Ale to już było nad siły Fedzia; pochwycił bonę i tak mocnego nią zamachnął młynka, że aż przed ganek wyleciała.

Pani Woliska pobiegła do męża, w okamgnieniu wpadło kilku drabów i wyciągnęli Fedzia przed ganek; on się im bronił, wyrywał, wyprężeniem ręki lub nogi pokładał ich na ziemię, ale oni wstawali, nadbiegło ich więcéj, u każdéj ręki uwiesiło mu się po kilku, i odebrał chłostę, nie bolesną, bo nie wydał żadnego jęku, żadnego głosu prośby lub słabości; ale ze wstydu omal nie skonał. I chciałby, żeby się była ziemia zapadła i pochłonęła go z jego sromem. Gdy go bić przestali, upadł twarzą na ziemię i zerwał się nagle, nim draby spostrzegły. Obok leżał głaz; zwykle nie zdołałby go podźwignąć, teraz oburzenie, rozpacz dodały mu siły, podniósł go i zakręcił nim — zmierzył w okno, w którém Woliscy stali. Oboje byliby padli pod siłą ciosu, ale wtém posłyszał głos Aluni: »Mnie katujcie, zabijcie, ale Fedziowi dajcie pokój — biédny Fedzio!... Boże, ratuj Fedzia!« Fedzio rzucił kamień na ziemię i pobiegł w największą gęstwinę w ogrodzie. Ukryty jakgdyby się nawet spojrzenia słońca wstydził, — siedział w krzakach aż do zmroku, — w nocy przeskoczył mur opasujący zamek.

*

Byłoto podczas konfederacyi Barskiéj. Po dniu letnim, skwarnym, nastąpiła noc pogodna, chłodna. Niebo przybrało swoje tło błękitne we wszystkie gwiazdy, i księżyc zléwał taką pełnią uroczego światła, jakby to nie noc była, ale dzień, na innéj, piękniejszéj, romantyczniejszéj ziemi; ale jakoś nagle księżyc pobladł i niebo ściemniało i gwiazdki pogasły, choć za-

dnéj nie widać chmurki; o, bo widokrąg w półkole jaskrawa łuna opłynęła, i księżycowi zsępiła lice i okna zamku złocistym olśniła blaskiem.

W zamku było oprócz gospodarza kilkunastu innych mężczyzn. »Kozacy już tutaj — widać ognie; to oni gospodarują!« mówił pan Woliski do swoich gości. — »Tak, to oni!« powtórzyli obecni, i po niedługiéj chwili spuszczono most, i tętniły ich konie po kamiennym gościńcu. Kto ich widział za stołem w zamku, nie poznałby że to ci sami; tyle męzkości i rycérstwa przybrały ich postawy, taką odwagą ich oczy zabłysły. Możeto ta broń z Kircholmskiéj, Cecorskiéj bitwy wlała w nich to dawne życie, te nowe siły.... Ktoby ich był zobaczył oblanych tym niepewnym księżyca blaskiem, musiałby myśléć, że to wodzowie nadciągających hufców; ale nie widząc nikogo za nimi, miałby ich może za jeden z tych nadziemskich zastępów, coto czasem litościwe nieba wybranemu ludowi w pomoc przysełały.

W krzaku koło gościńca siedział chłopiec. Czasem przyłożoném uchem do ziemi łowił chciwie odgłosy, czasem poprawił proch na panewce odwiedzionéj strzelby. »Ha, jakiś tentent, to oni!« zawołał dziko i przyłożył kolbę do ramienia. »On jedzie na wojnę za naszą nieszczęśliwą ziemię...« mówił w nim jakiś głos prawy, ale namiętność odpowiedziała zwyczajném mędrkowaniem: »Czyżto niéma milijonów serc gorejących poświęceniem? Czyliż z tylu ludzi dzielnych sprawa ogółu nie wybierze sobie godniejszych obrońców?« — »Tyś nie Włochem, żebyś był skrytobójcą...« mówiło prawe uczucie. »Tyś Polakiem..«— »Ja Polakiem!« powtórzył Fedzio i wystrzelił w powietrze; — odpasał potém topor i skoczył w poprzek gościńca. — W téj chwili nadjechał Woliski z całym orszakiem. Fedzio podniósł topor. Woliski nie wziął się do oręża, nie drgnął nawet ręką; rzucił tylko na Fedzia wzrokiem lekceważenia, dumy i wzgardy. Ten rzut oka zmieszał chłopca, zniweczył jego moralną siłę, przycisnął, przykuł go do ziemi. Odjechali wszyscy i zamilkło echo ich pochodu, a Fedzio stał nieruchomy bez siły, bez woli. I nic dziwnego, Woliski myślał, że Fedzio do niego strzelił, a Fedzio uległ sile jego spojrzenia, bo przez długi czas nawykł widziéć w nim ojca.

*

W Karpatach nad brzegiem morskiego oka paliło się duże ognisko; naokoło leżało na posłaniach z mchu i liścia, kilkunastu ludzi z toporami. Na jedném posłaniu wyższém, siedział Fedzio, głowę oparł na rękach i dumał. Opryszkowie koleją śpiéwali:

»Raźno i wesoło,
Pijano, szalono,
Niech obiega wkoło
Kielich nasze grono.

Na szczycie Tatrzańskiém
Nie wiemy o pańskiém,
Dość tu wódki, chleba
Cóż nam więcej trzeba!

I pałace mamy,
W niebie ich sklepienia,
Granitowe bramy
Las sosien ocienia.

Z połonin są ściany,
A kozodrzewina,
Jakoby dywany,
Swe kosy rozpina.

Aż gdzie Białéj wody
Z wirchami rozstanie,
Są nasze swobody,
Nasze panowanie!

A za ucisk krwawy
Nie jednego panka,
Dreszczem przejdzie stawy
O opryszkach wzmianka.

Co zapragną duszą
Opryszki, choć z ziemi,
Wyonaczyć muszą
Siekierkami swémi.«

»Dość tych waszych śpiéwek!« przerwał im Fedzio. »Ja słuchałem ich dla was tak długo. Uczyńcie wy to samo dla mnie. Zaśpiéwaj mi chłopcze tę moję ulubioną dumkę, — nie mile ona brzmiéć będzie waszym towarzyszom, ale moja dusza jéj pragnie, jak kania dészczu, jak więzień wolności.«

„Tam nad wodą w sinym jarze
Tam moja droga Zoryna,
O niéj myślę, o niéj marzę,
Wszystko mi ją przypomina.

Czém są hale dla gór syna,
Czém mu wirch, parja głęboka,
Tém dla mnie moja Zoryna,
Tém dla mnie promień jéj oka.

Poszedłbym nawet w równinę,
Strzaskałbym topor o skały,
Gdyby mi tylko Zorynę
Dobre nieba widzieć dały.

Choć krążę w noc od poranka,
Uciekam od méj jedynéj,
Widząc opryszkiem kochanka,
Pękłoby serce Zoryny.”

Coś w krzakach zaszeleściało. Umilkły śpiéwki, — wszyscy oczy trwożliwie zwrócili, ale uspokoili się wkrótce, bo poznali jednego ze swoich. Przybyły stanął przed Fedziem i zdawał mu sprawę z wycieczki. „Wykonałem wasz rozkaz i byłem na zamku;” mówił do Fedzia. „Ale niech mię piérwéj piorun spali, nim drugi raz pojdę w takie posły. Powiedziałem im, że wy ostrzegacie pana Woliskiego, aby się spodziéwał waszéj zemsty i miał się do obrony. Oni wszyscy parsknęli śmiéchem. „Słuchajcieno!” mówił do innych jakiś pan wysoki z węglaną głową a twarzą wapienną. „Naśmiejcie się do woli!! Opryszek wydaje mi wojnę. To jego poseł.” Śmiali się długo, a mnie aż mrowie przechodziło. Potém radzili, co ze mną zrobić... Jeden nawet wyrwał się z tém niegrzecznem zdaniem, żeby mnie bez wszelkich ceremonij powiesić. Ledwie żem się wydostał z tego przeklętego gniazda” — Fedzio to czerwieniał to blednął. Nagle zerwał się z ziemi, jakgdyby odrzucony jéj siłą. „Bracia, za mną!” krzyknął na opryszków. »Nie długo ten butny panek będzie nam inaczéj śpiéwać!”

Na dany znak zagrały fujarki. Dźwięczne ich tony rozpłynęły się po stawie w pełnym odgłosie, opłynęły ściany morskiego oka, i czépiały się po skałach aż do czarnéj wody. Na to znane hasło zbiegali z wirchów opryszkowie i szli za Fedziem. I długo jeszcze rozlégały się dźwięki i odgłosy góralskiéj nóty po parjach i połoninach, po kotlinach Roztoki i po Niebieskiéj dolinie.

*

Noc była ciemna. Żadna gwiazda nie lśniła na czarnym niebios stropie, i na ziemi światła pogasły, bo już było z północy. Zamek tylko pana Woliskiego zdala jaśnieje blaskiem; słychać muzykę i rozmowę gwarną. Widać, że państwo gościom swoim radzi. Zdaleka od zamku podsunął się pod mur jakiś człowiek w guńce. Podskoczył zręcznie, jedną rękę obwinął w sploty płaczącéj brzozy, drugą się muru uczepił, jeszcze raz w górę się podrzucił — i był już na murze. Na wiérzchu zawiesił powrozową drabinkę, przymocował do drzewa i przeskoczył na drugą stronę. Przebiegł znajome ścieżki, klomby, szpalery; każde z tych miejsc budziło w nim tyle miłych rozrzewniających pamiątek! Przez dziwną uczuć sprzeczność, pierś mu kipiała krwi chciwą zemstą i rozpływała się łagodnémi i błogiémi wspomnieniami czasów dziecięcych, piérwszych nadziej i piérwszéj miłości. Tu pod tym grabem czekała często na niego Alunia i biegła w jego objęcia gdy go zobaczyła zdaleka... Tu w tém miejscu rumieniec jéj twarzy, spuszczone oczka przekonały go, że jest jéj więcéj niż bratem... dały mu poznać to uczucie słodsze i świętsze od przyjaźni, uczucie miłości. Przypomniał sobie swoje zhańbienie i ściskał dłonią mordercze śmierci narzędzie, — przypomniały mu się dawne błogie chwile, święte uczucia, i tą samą dłonią ocierał łzy rozrzewnienia. — Podsunął się pod sam zamek. Światło z okien padało na część ogrodu. Poznał klombik, który dla swojéj Aluni zasadził. Wszystko tak zastał, jakgdyby wczoraj odjechał. Tylko na krzakach i kwiatkach ślady świéżéj troskliwości pięknéj ogrodniczki, a wkoło całego klombiku wianek z ruty i macierzanki, jak na czole zmarłéj oblubienicy. Łzy puściły mu się strumieniem, padł na kolana, ucałował ziemię i kwiatki. Ten trawnik dotykały może jéj stopy, te kwiatki może jéj ręka pogłaskała...

Z tego rozrzewnienia, zadumania, wyrwał go jakiś szelest. Otworzyło się w górze zamku ciemne okienko. Jakaś osoba w bieli, blada, śliczna, jak anioł niewinności, jak lilija lśniąca rosy perełką oparła na murze skroń śnieżną — i nuciła głosem dźwięcznym, słodkim, smętnym:

„Tu śmiéch, zabawa wesoła
I leją się strugi wina,
A tam Fedzio w pocie czoła
Może dnie swoje przeklina.

O Boże! to z méj przyczyny
Tych gorzkich losów doznaje
Mój Fedzio drogi jedyny,
Jakże ta myśl serce kraje!....

Gdyby wietrzyk, co szeleści,
Gdyby księżyca promienie,
Przyniosły mi o nim wieści,
Jedno ócz jego spojrzenie!...”

Wtém jakiś krzyk powstał w pokojach. Albina przestała śpiéwać i zbiegła na dół. Ten sam krzyk przeraził także i Fedzia. „Dla Boga, to oni!” krzyknął w rozpaczy. „Nie myślałem żeby się tak pospieszyli.” Biegł pędem do sali, gdzie wszyscy goście byli i gdzie się już także napastnicy dostali. Piérwszy stał pan Woliski z karabelą w górę wznie-

sioną, a piorunującym wzrokiem zdawał się zażegnywać grożące niebezpieczeństwo. Ale opryszki zanadto długo wolnym oddechali powietrzem, nie ugięła ich dworująca postawa; kilku otoczyło go wkoło i kilka toporków podniosło się w górę. W tej chwili nadbiegła Albina. Blada, zalękniona a przecież przytomna, rzuciła się na szyję ojcu, objęła jego piersi w pulchne ramiona, twarzyczką głowę mu zasłoniła. Opryszki wahali się chwilę — widok anioła uderzył ich pijane zmysły. Ale chęć zdobyczy połączona z gorzałczanym szałem, dodała im morderczej odwagi. Już byłyby w nią toporki ugodziły — szczęściem dla niej, szczęściem dla wszystkich w sali, otoczonych nagle burmą opryszków, doleciał głos Fedzia: »Czekajcie, na Boga! Śmierć każdemu, kto się tknie toporu!» wołał z daleka, i nadbiegł właśnie w stanowczej chwili, siekierą zasłonił Woliskiego i Albinę. Opryszkowie szemrali i drgały im w rękach toporki, a przecież nie śmieli ich podnieść na dowódzcę. Ale pan Woliski poznał swego wybawcę. „Precz ztąd nikczemny!» krzyknął w oburzeniu. »Wolę śmierć, niż życie z twojéj łaski!» I jedną ręką córkę odsunął, a drugą Fedzia siekierę odtrącił. Pod niespodziewanym ciosem opadła ręka Fedzia i wysunęła się z niéj siekiéra, a nim ją w lewą dłoń uchwycił, dwa toporki przełupały głowę Woliskiego. Jednym zamachem swojej siekiery położył Fedzio dwa trupy obudwóch morderców, ale to nie osłabiło ciosów zadanych — śmiertelnych. Po tém zabójstwie i wymierzonej karze wynieśli się opryszkowie z zabitémi ciałami; przed nimi jeszcze wypadł Fedzio. — I znowu było cicho na zamku, sąsiedzi rozjechali się po księży, doktorów, inni do swoich domów. Przyjechali doktorzy, nie robili nadziei, — przyjechali księża, dali ostatnie pomazanie, udzielili święty sakrament i mówili z umierającym pacierze, litanije. U nóg ojca klęczała córka, — ręce złożone jak do pacierza, w źrenicy błyska wyższe uczucie, jakgdyby z bóstwem rozmawiała, a przecież usta żadnéj nie szepczą modlitwy. Przez trzy dni słabości ojca żadnego nie przyjmowała pokarmu. W jéj rysach znać ślady bliskiego zgonu. Twarz była blada, nadto blada, prawie żółta, wpół trupia, — a jednak zawsze była piękną; piękną nad wszelkie ziemskie pojęcia; bo w wyrazie oka promieniła jéj czysta anielska dusza ulotniająca się z ziemskiéj osłony, bo godło śmierci nadawało jéj wejrzeniu jakąś wyższą świętość. — Zbliżała się ostatnia chwila ojca, ale musiał jeszcze piérwéj widzieć śmierć córki. »Ojcze, przebaczenia Fedziowi!» były ostatnie jéj słowa i osunęła się do rąk ojca. Ojciec chciał ją do ust przyciągnąć. »Wy mnie przebaczcie, jam winien wszystkiemu, żem was dla téj niegodnéj poświęcił.» — Ujął jéj rękę, ale już była jak lód zimna.

Pani Woliska przez ten cały czas mdlała, to znowu dostawała spazmów, a przy śmierci męża wyczerpała cały zapas trzeźwiących paryzkich pachnideł tak, że do Nowego-targu musiała posłać po anodinum. W jednéj sali położono dwa ciała na kirowych całunach. Pana Woliskiego ubrali w ten kontusz, tę mu dano zbroję, jaką miał w téj nocnéj wyprawie, kiedy mu Fedzio drogę zastąpił. Śmierć nie zmieniła mu rysów twarzy. Ta sama duma i ta sama łagodność, ale już nie igrają z sobą na przemiany, ale spoiły się w jeden wyraz powagi. — Alunia miała białą sukienkę, a na czole wianuszek z ruty i macierzanki z Fedziowego klombiku. Czeladź zamkowa otoczyła jéj łoże, wszystkich oczy zalewały się łzami, z piersi wyrywały się westchnienia, jęki, a w każdéj postawie uszanowanie, cześć, jak na widok relikwii, jak w domu, który duch boży nie dawno opuścił. — Psy wyły przeraźliwie — jakby z niemi w zawody porwał się wiatr dziki, szalony. Tłukł się po basztach, dzwonił szybami, całe kawały dachówek odrywał. To znowu porzucał zamek, znudzony zimnym oporem swego przeciwnika, pędził w las daleki, jednym impetem walił całe obszary — zabiegał aż po same Tatr szczyty. Tu dopiero hamował swoją zaciekłość, może się lękał przerwać święty, odwieczny spokój tych praojców polskiéj ziemi.

*

Nie daleko Pięciu Stawów zbiegają się dwie połoniny w głęboką bezdenną kotlinę. Nie zabiegają w nią słońca promienie. Oko widzi czarne, bezkształtne masy, naprózno sili się odgadnąć ich zarysy, musi ustąpić wyobraźni, a ona wywołuje z tego nocnego chaosu potworne widziadła, i przelękła, przerażona, sama ucieka od swoich utworów. — Z obudwóch stron zbiegających się połonin powaliły wieki drzew olbrzymy; spadając jednocześnie, nie runęły w przepaść, ale zetknęły się szczytami, spoiły konary. Świérki i modrzewie pospiérały się na téj szczególnéj podwalinie, — na ich mchu, liściu, porosła kozodrzewina i spoiła to rusztowanie zawieszone ręką przyrody — ten pomost rzucony zuchwale. Pod spadem słychać jakiś szmer, niby huk przytłumiony, to bałwany rzék podziemnych uderzają gniewnie w kruszcowe wybrzeża. Czasem ułamek skały zatętni po stromych urwiskach; w szalonych podskokach pędzi w bezdeń przepaści, hukiem wypełnia powietrze, wstrząsa granitu posady, ale nim spodu dobiegnie, ciszéj, tępiéj zmysły uderza, aż w głuchem skona echu. — Swobodnie bez obawy przechadzają się tutaj dzikie kozy, bo nie napotka ich chciwe myśliwca oko, nie dosięgnie zdradziecki postrzał. Czasem tylko orłów natrafią obozy, przerwą im biesiadę; ale między niemi dobra znajomość z Łomnicy i najszczytniejszych wirchów, — bo nieraz orły tak blisko ponad skałę szybują, że omal jéj piersią nie musną. Nieraz znowu koza tak

śmiałym rzutem z szczytuna szczyt sadzi, że nito ptak szyby powietrza przeszywa.

Dzisiaj i kozy zdumione pomknęły między skały, ustępują i orły od swej uczty powoli niechętnie, — to się unoszą w powietrze, to znowu przysiadują, jakgdyby się wahały czy mają ustąpić z téj swojéj naturalnéj dziedziny, jakgdyby nie dowierzały téj zapamiętałej śmiałości człowieka.

Z dębu na dąb, z świerku na świérk, przesuwało kilkudziesięciu ludzi. Byłato banda Fedzia. On sam usiadł na pniu, głowę osunął w dłonię, a oczy w przepaść utopił. Opryszkowie skakali ciągle; czasem ich stopa oparła się na gałązce kozodrzewia, czasem tylko mchu kępka utrzymała ich nad przepaścią. Ten taniec dziki, szalony, taniec na złomanie karku, trwał długo i gdy nogi zmęczone w mniéj pewnych stawały krokach, wstrzymywali się na chwilę, zaśpiéwali chórem strofę piosenki, i nucąc ją sobie, znowu powtarzali swoję rozpaczliwą zabawę.

»Śmierć co krok,
Otchłań co skok,
To nasze życie, to są nasze tany!
Hulajmy, pijmy,
Świata użyjmy,
Nim w sercu utkwi guzik poświęcany.

Dzisiaj słońce nam przyświéca,
W spiekę gaj użycza cienia,
A Pięć Stawów lub Łomnica
Daje nam mchu i schronienia.

Jutro może na posłanie
Zaścielą nam rusztowanie,
A zamiast biedz w szczyt Łomnicy,
Zepniem się do szubienicy.

Tak śpiéwali i tańczyli długo. — Naraz umilkły ich śpiéwki, ustały ich skoki. Po rosie nabiegł głos dzwonu, pełny, przeciągły, jęczący. Byłyto dzwony pogrzebowe Aluni. — Fedzio podniósł wzrok w górę — pożegnał skinieniem ręki towarzyszy i rzucił się w otchłań, nad którą był pochylony....

I długo jeszcze mówiono i śpiéwano w Tatrach o Fedziu, najśmielszym wodzu opryszków. Nikt nie złorzeczył jego pamięci, bo nigdy się nie splamił krzywdą biédniejszych. — I długo mówiono i śpiéwano o pięknéj Aluni. Krąży jeszcze podanie, że jéj ojciec padł ofiarą zemsty konfederatów — bo działo się to w czasie, kiedy wszystkie bezprawia, kiedy każdy gwałt obcego żołniérstwa, liczono na karb konfederacyi. Tak jakgdyby na poparcie zdania: że chociaż wola ludu jest zawsze wolą Boga — głos ludu nie zawsze jest bożym głosem. *M. S.*

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 34ty i zawiéra: 1) O uporządkowaniu pól pod płodozmian. Ciąg dalszy. 2) Nowy ferment pana Mehlbauma z Berlina, rozebrany przez J. Żywickiego. 3) Ziele przeciw zarazie bydła. 4) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 18ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Dwa obrazy z życia. Dokończenie. 2) Z melodij hebrajskich Kornela Ujejskiego: Hagar na puszczy. 3) Marcin Chuzzlewit, kilka rysów Ameryki i jéj mieszkańców. Ciąg dalszy. 4) Nowości literackie.

Najbogatszym językiem w Europie jest niezaprzeczenie baskijski (*Escuara*). Słowa czasowe w tym języku mają po 11 trybów, a z piérwszych 6 trybów ma każdy po 6 czasów. Każdy imiesłow odmienia się podług 16stu rozmaitych spadków, a wszystkie nawet nieodmienne w nowożytnych językach części mowy, jakoto zaimki, przysłówki, wykrzykniki — spadkują się tam bez końca. Każdy bowiem rzeczownik ma 12 różnych spadków, a każdy 1szy spadek (*Nominativus*) ma 6 rozmaitych stopni. I tak np. ojciec zowie się *ait*; piérwszy spadek drugiego stopnia jest *aitarem*; ojcowy, należący do ojca, — i tym sposobem daléj aż do 6go stopnia, którego 7my spadek ma sumiennie licząc — 42 głoski, to jest: *»aitarenarenarenganicacoarenarenarenarequim«* — ! Nazwa każdego domu zmienia się stosownie do położenia jego, bądźto pomiędzy dwoma ulicami, bądź przy jednéj tylko ulicy, bądźto na rozstajnéj drodze, na północ, lub na południe, przeciw wiatru lub jakkolwiek inaczéj, w którymto każdym przypadku inaczéj się też nazywa. Gramatyk Bidassouet wykazał, iż jeżli język francuzki 2,119.000 zgłosek posiada, tedy język baskijski ma ich przeszło 1.592,000.000! Zastanowmy się tylko nadtém, iż każdy baskijski czasownik w 26cioraki sposób odmienianym być może. Sławny badacz języków Humboldt utrzymuje, iż język baskijski zdaje się podług swoich gramatycznych form być tym językiem, który baraziéj niż jakikolwiek inny za piérwotny, spólny pra-język uważaćby należało.

Ognie sztuczne w Paryżu. Tegoroczne uroczystości lipcowe odznaczały się najbardziej wodnemi i ogniowemi sztukami na Sekwanie. Rozpoczęty się one już o 3ciej godzinie po południu, śród niesłychanego tłumu widzów. Najprzód odbyły się wyścigi pływaczów w lekkich, białych hełmach w kształcie łabędzi, tak iż całe grono płynących zawodników do stada łabędzi podobném się zdawało; daléj nastąpiły wyścigi w łodziach, a oraz komiczna gonitwa w beczkach, w których sternicy mieli tylko dwie małe łopaty zamiast wioseł; zakończyło się to wodne widowisko powszechną obławą wszystkich czółen na roje kaczek i gęsi, które z niejakiéj odległości ścigano. Dopiéro koło 6téj godziny uciszyły się te wodne igrzyska a rozpoczęło się rozświécanie lamp, które z powodu zbytniéj rzęsistości świateł, pomimo 2000 umyślnie do tego przeznaczonych ludzi, nie prędzéj aż o saméj 9téj się ukończyło. Zaczém zajaśniała ogromna fasada ogniowa, rozciągająca się od mostu *de la Concorde* aż do mostu Inwalidów, a przedstawiająca rzeczywiście czarowny widok spaniałego pałacu mauryjskiego. Wszystkie pływalnie i łazienki na Sekwanie były również przepysznie oświetlone, a cztéry wielkie, wszystkiémi banderami i niezliczoném mnóstwem lamp ozdobione parowe statki, brzmiały rozlegającym się po brzegach odgłosem chórów muzycznych, podczas gdy 200 mniejszych okrętów weneckiéj, algiérskiéj, chińskiéj, tureckiéj i t. p. formy, jaśniejące kolorowemi lampami i lampionami, po opromienionej blaskiem rzece krążyły. Około 9téj oznajmiły 3 race, iż król u okien pawilonu się znajduje, a natenczas zagrzmiały działa u Inwalidów i z dwóch na brzegu ustawionych bateryj, wtórując sobie tysiącami strzałów bez ustanku przez półtoréj godziny. Zarazem rozpoczęły się ognie, i nagle — błyszczący, skrzący, promienny dészcz tak zwanych romańskich trójkoloro-

wych gwiazd, rac, kul błyszczących, szmermelów, turbillonów, rozlał się z owych małych okrętów, z parowych statków i z nad wybrzeży w powietrze. Oprócz tego pływało po Sekwanie mnóstwo płyt korkowych, na których białe, niebieskie i czerwone bengalskie ognie płonęły, a pomiędzy niemi zajmowały się co chwila małe umyślnie przyrządzone okręty podpalne i pękając ulatywały w górę z łoskotem. To niewymownie zdumiewające widowisko rozciągało się wzdłuż całéj rzéki pomiędzy pomienionemi mostami i trwało przez pół godziny. Potem zapalił się front pierwszy, przedstawiający trzy wielkie tarcze w brylantowym ogniu z napisem: »27, 28, 29 lipca« — i dwa razy się przemieniał, a po obudwóch przemianach rozpoczął się nanowo powszechny ogień na całéj Sekwanie i na brzegach, i trwał już nieustannie aż do końca. Drugi front, składający się z 9ciu przemieniających się salamandrów, zakończył się dziesięciominutowym deszczem trójkolorowych gwiazd, a trzeci, wyobrażający tryjumf Neptuna w brylantowym ogniu, szerzył się od izby deputowanych aż do mostu *de la Concorde*. Na moście ciągnęła się aleja żółtym i zielonym ogniem oświetlonych drzew palmowych, przecinana gdzieniegdzie kaskadami białoróżowego brylantowego ognia, prowadząca aż do kolosalnego tryjumfalnego wozu Neptuna z trójzębem. Nakoniec uniosły się śród łyskawic i grzmotów raz po raz trzy tak zwane bukiety, składające się razem z 45.000 rac, a wreszcie wzleciał jeszcze ostatni bukiet z 500 rac spadających, których białe, niebieskie i czerwone kule ogniowe długo w powietrzu się unosiły. Wrażenie tego nieprzejrzanego morza ognia było do nieopisania, jakoż i entuzyjazm półmilijonowéj ludności widzów przechodził wszelkie wyobrażenie.

Dowcipny wybieg Polaka wychodźcy. Co kwartału o pewnym czasie przybywał na pocztę paryzką list z najodleglejszej granicy Rossyi *poste restante* pod adresem pewnego wychodźcy polskiego; co kwartał o tymże samym czasie przychodził do biura pocztowego jakiś poważny lecz ubogo ubrany mężczyzna i pytał o listy pod nazwiskiem, jakie właśnie na adresie owych listów z Rossyi się znajdowało; każdego razu odczytał nieznajomy uważnie adres okazanego sobie listu i oddawał go nazad, oświadczając, iż to jego wprawdzie nazwisko, lecz imię cudze, a zatém i okazany tu list nie jest ten, o który się dowiaduje. — Po upływie przepisanego czasu otwierano te nieodbierane listy i nie znachodzono w nich nic innego prócz czystéj, białej kartki. — Daremnie starali się długo urzędnicy pocztowi rozwiązać tę zagadkę, gdy niespodzianym przypadkiem następne rozrzewniające odkrycie uczyniono. Cała prawie rodzina wychodźcy — ojciec, dwaj bracia i dwaj stryjowie zostali jako uczestnicy ostatniego powstania na Sybir wygnani; jego siostra udała się tam dobrowolnie za ojcem. Aby więc od tych wszystkich drogich osób w pewnych przeciągach czasu jakkolwiek krótką wiadomość, a przynajmniéj zapewnienie o ich życiu, bez opłaty kosztownego porto odbierał, wpadł nasz ziomek na myśl zawiadamiania się o życiu swojéj rodziny przez odczytywanie samego adresu, który wszyscy, ojciec, bracia, siostra i stryjowie, na znak iż jeszcze żyją, po jednem słowie pisali.

O żegludze napowietrznéj wyszło niedawno dzieło w Londynie, będące już dwóchsetnem z szeregu dzieł w tym przedmiocie. Autor jego, niejaki dr. J. M'Sweeny jest pełen najbujniejszéj nadziei o ustaleniu się żeglugi napowietrznéj; widzi już nawet w duchu te czasy, kiedy liczne balony będą unosiły missyjonarzy w głąb pustyń afrykańskich lub na wyspy południowego oceanu, a lada jaki podróżny każe sobie przygotować podobny napowietrzny powóz, nie wiedząc jeszcze z pewnością czy ma polecieć w odwidziny do chana z Bochary, lub oglądnąć Palmyrę. Ztémwszystkiem nie doszła jeszcze żegluga powietrzna do tego stopnia doskonałości, a prawdę mówiąc, uczyniła tylko małe postępy od czasu swego pierwszego wynalezienia. Dr. M'Sweeny zaleca kilka ulepszeń, z których mianowicie jedno jest wcale nie od rzeczy. Rozmaite prądy w wyższéj powietrzni sprowadziły aeronautów na myśl szukania pożądanego kierunku wiatru przez kolejne spuszczanie lub wznoszenie balonu. Lecz jestto bardzo niedogodny środek, ponieważ wyrzucany w tym celu balast, jakoteż gaz wypuszczany, nie da się odzyskać nazad w powietrzu. Dlatego wnosi dr. M'Sweeny, aby wprawiać sokoły do latania z balonem, do któregoby one za pomocą długich łańcuszków były przymocowane. W razie potrzeby zniżenia balonu, możnaby przyciągnąć sokoła; wypuszczony zaś sokoł pociągnąłby oczywiście i balon z sobą w górę. Wszakże mimo tak zmyślnego urządzenia i mimo tylu innych ulepszeń minęły — jak się angielskim czasopismom zdaje — te czasy, kiedy w balonach osobliwsze środki komunikacyi upatrywano; żelazne koleje mają wtém niezmierną wyższość nad balonami. Zresztą nie jest szybkość balonu nawet w najpomyślniejszym wypadku zbyt wielką, i zawisa od wiatru, który rzadko kiedy więcéj nad 50 angielskich mil (około 10 jeograficznych) w godzinie ulatuje. Jedną z najszybszych podróży napowietrznych odbył balon, który wieczorem przed koronacyją Napoleona w Paryżu wzniósł się, a nazajutrz wieczór około Rzymu się spuścił. Odległość wynosi 980 mil angielskich; a zatém balon ulatywał około 40 mil angielskich na godzinę, co przecież jest dopiero trzecią częścią szybkości osobnego trenu na kolei żelaznéj Great-Western.

Trzech biesiadników — trzy nogi. Przy uczcie, którą książę Esterhazy w Londynie na cześć francuzkiego posła wyprawił, siedział po prawéj ręce posła książę Hessen, a po lewéj margrabia Anglesea. Ci trzéj goście mieli razem tylko trzy nogi. Poseł francuzki stracił jedną w bitwie pod Lipskiem, książę Hessen pod Borodino, a margrabia Anglesea pod Waterloo.

Nagroda publiczności a wdzięczność aktorska. Każdy dzień nastręcza nam niestety nowych dowodów zbyt niestałej i płochéj pamięci publiczności; jak dalece zaś wdzięczność aktora lub aktorki za doznane niegdyś jéj względy posunąć się może, przekonywa nas następujący anons, który z jednego z ostatnich numerów Kuryjera warszawskiego, dosłownie przytaczamy: »Dawniejsza chórzystka teatru warsz. zawsze jeszcze pamięta, iż temu lat 25, miała kilka taktów *solo* w chórze opery »Czerwony kapelusik« do odśpiewania, i że za wykonanie tego króciutkiego śpiewu oklask publiczności otrzymała. To szczęście i ta nagroda, które jéj tylko raz przytrafiły się, tyle jéj dotąd są drogie, że właśnie w 25tą rocznicę tego zdarzenia złożyła w Redakcyi Kuryjera w miarę swéj możności, złr. 2 — dla ochrony ubogich dziatek.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.